



RADOŚLAW ŁUCARZ

WIKARY
OPowieść postwigilijna

Redakcja:

Radosław Łucarz

www.lucarz.blogspot.com

Opracowanie graficzne, zdjęcia i projekt okładki:

autor

ISBN: 978-83-934863-6-2

Wszelkie prawa zastrzeżone, jednak czytajcie, rozpowszechniajcie
i dzielcie z innymi.
Katolicytwnu na pohybel.

Aby powstała ta książka nie wycięto ani jednego drzewa.
Dedykuję ją wszystkim, którym instytucja zwana kościołem rzymskokatolickim kiedykolwiek
wyrządziła jakąś krzywdę czy przykrość.

Maidstone.
28 grudnia 2019

WIKARY
opowieść postwigilijna

Grudzień 1988 roku.

Trzy dni temu.

1.

-No dzwoń, twoja kolej- niecierpliwiał się Sebastian, potrząsając puszką na datki. Wewnątrz zabręczały monety. Marcinek wcisnął przycisk dzwonka raz i drugi. Odsunął się niepewnie o pół kroku. To była jego pierwsza służba i trochę nieswojo czuł się dobijając do mieszkań obcych w gruncie rzeczy ludzi. Za drzwiami rozległo się ujadanie psa, co przestraszyło chłopca jeszcze bardziej. Nagle te otworzyły się na całą szerokość. Jego oczom ukazała się niewysoka, elegancko ubrana kobieta. Patrzyła nań z zaciekawieniem.

-Szczęść Boże, czy przyjmują państwo kolędę?- prawie wyszeptał przestraszony chłopak czując, że robi się czerwony na twarzy niczym burak. Najchętniej założyłby czapkę niewidkę i zniknął. Za sobą usłyszał dźwięk ministranckiego dzwonka. To Sebastian, nie bacząc na stres kolegi dzwonił donośnie, wszystkim mieszkańcom piętra jakby obwieszczając, że niebawem ich kolej. Kundel w mieszkaniu ujadał jak wściekły a kobieta próbowała odgonić go nogą.

Z wewnątrz mieszkania rozległ się tubalny głos:

-Mariola, kto to?

-Kolęda- odkrzyknął kobieta- wpuścić ich?

Oczom przestraszonego ministranta ukazał się pan domu. Pokażnych rozmiarów jegomość sprawiał niechlujne wrażenie, potargany, jakby dopiero przebudzony z późnej, popołudniowej drzemki. Patrzył na chłopca nieprzychylnie.

-Wynocha mi stąd! I żebym cię tu więcej szczeniaku nie widział- burknął grubiańsko i wrócił do mieszkania. Marcinek poczuł, że za chwilę zemdleje z przerażenia. Do oczu napłynęły mu łzy, jeszcze nikt w ciągu jego krótkiego, dziesięcioletniego życia, nigdy nie potraktował go w taki sposób. Już chciał uciekać, lecz kobieta powstrzymała go.

-Poczekajcie chwilę chłopcy- powiedziała i zniknęła na moment, zostawiając otwarte drzwi. Pojawiła się sekundę później, wyciągając dłoń, w której trzymała dwa batoniki.

Patrząc jakby trochę serdeczniej zamknęła drzwi bez słowa.

-Ty, co ona ci tam dała?- Sebastian nagle odzyskał animusz, choć do tej pory nie odezwał się ani słowem, stojąc bezpiecznie schowany za plecami kolegi. Bezceremonialnie wyjął mu słodycze z ręki zanim oszołomiony Marcinek zdążył zaprotestować.

-O rany! Zobacz, snikersy!- wykrzyknął z zachwytem- prawdziwe snikersy. Jadłem kiedyś takie u księdza proboszcza. A ty w ogóle widziałeś takie na oczy?

Marcinek wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru tłumaczyć, że snikersy widział, fakt, ale tylko w katalogu z Pewexu. W jego domu zwykła czekolada stanowiła rzadko spotykany rarytas, dlatego z niechęcią patrzył, jak Sebastian ładuje prawie całego batona do ust, niemal się przy tym dławiąc. On swojego jadł powoli, rozkoszując się nieznanym dotąd smakiem orzeszków, karmelu i czekolady.

Ministranci stali na schodach pomiędzy szóstym a siódmym piętrem od niemal pół godziny. Robiło się już późno, do odwiedzenia mieli jeszcze całe ostatnie piętro a ksiądz Krzysztof, z którym sprawowali dzisiejsze wizyty najwyraźniej chyba o nich zapomniał i utknął w poprzednim mieszkaniu. Wychodząc chłopcy słyszeli, jak gospodarze zaproponowali kawę, co zdarzało się od czasu do czasu, jednak ta przeciągała się ponad ich cierpliwość. Zjedli

już batoniki, przeliczyli zawartość puszek chyba ze trzy razy, ustalili, na co który wyda zarobione pieniądze a tego jak nie było, tak nie ma. Kaloryfer na półpiętrze ledwie grzał i zaczynało im być po prostu zimno.

Wreszcie drzwi otworzyły się. Roześmiany wikary żegnał się wylewnie z domownikami.

Czerwony na twarzy, roztaczał wokół siebie woń dobrej kawy, drożdżówki i alkoholu.

Spojrzał przelotnie na zmarzniętych chłopców.

-No, to do roboty- zawołał- do kogo teraz?

-Ci tutaj powiedzieli, że nie przyjmują- pospieszył z informacjami Sebastian- dwóch nie ma w domu to musimy iść do tamtych- wskazał na drzwi naprzeciwko.

-Jak to nie przyjmują?- oburzył się kapłan- nie ma takiej opcji, żeby nie przyjmowali, raz do roku jest kolęda- po czym sam nacisnął kilkakrotnie przycisk dzwonka. Za drzwiami rozległ się dobrze znany chłopcom kundli jazgot, więc przezornie cofnęli się na półpiętro. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i stanął w nich facet z butelką piwa w garści.

-Czego znowu?!

-Szczęść Boże- ksiądz Krzysztof zaprezentował najbardziej promienny ze swych uśmiechów. Zwykle zniewalał on każdego, szczególnie parafianki, jednak tym razem okazał się niewystarczający- pokój temu domowi.

-Jaki pokój?! Co pokój?!- ryknął mężczyzna- won mi stąd, bo psem poszczuję.

Jakby na komendę z mieszkania wyskoczył kundel i zaczął ujadać biegnąc wokół kapłana. Gdy ten spróbował odepchnąć go nogą, złapał kłami za sutannę i począł tarmosić z istic szatańską siłą, warcząc i śliniąc się aż wreszcie rozerwał kawałek materiału i jakby z siebie zadowolony uskoczył na bok, robiąc miejsce swojemu panu.

Ksiądz Krzysztof zdawał się być oszołomiony niespodziewanym atakiem.

-Pański pies podał mi sutannę- zdążył powiedzieć cicho, zanim podchmielony mężczyzna złapał go za poły lewą ręką a prawą, otwartą dłonią uderzył prosto w twarz, raz i drugi. A potem odepchnął na ścianę. Z upuszczonej teczuszki posypały się po podłodze święte obrazki z kolędowym błogosławieństwem.

Z nosa kapłana poląła się krew.

Napastnik podszedł pół kroku i oddechem cuchnącym alkoholem wydyszał mu prosto w twarz:

-Mówiłem klecho, że nie przyjmujemy? Mówiłem?! Zabieraj tych swoich gówniarzy i wynocha mi stąd. I żebym nie musiał tego powtarzać. Bo po milicję zadzwonię, na esbe zadzwonię i skończysz w rzece, jak ten wasz pieprzony kapelan od cholernej solidarności. Won do Watykanu, swołocz, won! Raus!

Charknął potężnie, po czym splunął księdzu pod nogi, podniósł z podłogi pustą butelkę po piwie i trzasnął drzwiami, przy okazji posyłając ministrantom spojrzenie tak pełne nienawiści, że ci prawie narobili w majtki ze strachu. I tak byli już przerażeni.

Na klatce schodowej zapadła cisza. Chłopcy skuleni w kącie nie bardzo wiedzieli, co ze sobą począć. Ksiądz Krzysztof świeżo wyprasowaną chusteczką tamował płynącą z nosa krew. Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się cichutko.

-Chodźcie do środka- pięćdziesięcioletni lokator zapraszał gestem. Mówił cicho, jakby obawiając się, że cała awantura zaraz rozpocznie się od nowa. Ksiądz Krzysztof skinął na ministrantów. Spuchnięta warga uniemożliwiała mu mówienie i nie chciał się kompromitować sepleniąc niewyraźnie.

31 grudnia 1988 roku.

Teraz.

2.

Odsunąłem od siebie talerz i dokładnie ułożyłem sztucze, uprzednio upewniwszy, że nie pozostał na nim choćby miligram niedojedzonej potrawy. Gospodyni pewnie nie darowałyby mi. Bynajmniej nie przejmowałem się jej zdaniem, bo to tylko gospodyni, chociaż lubiłem ją nawet. Darmowa wyrobniczka, jakich pełno na tym świecie. Niemniej jednak gotowała wyśmienicie i byłoby prawdziwą nedorzecznnością odmawiać sobie pyszności, które przyrządzała.

Siedzieliśmy teraz przy stole w kuchni tylko we dwoje, dlatego syty, rozleniwiony, pozwoliłem sobie na drobną poufałość. Rozłożyłem się nieco na krześle, popuściłem pasek o dwie dziurki i starając się to zrobić w najbardziej melodyjny sposób- potężnie beknąłem. Służąca zachichotała ze zrozumieniem

-Podjadł sobie ksiądz Mareczek, oj podjadł...

Zwlokłem się ze stołka, podszedłem i szarmancko ucałowałem w obie dłonie.

-Oj podjadł i to zdrowo, pani Janeczko. Rozpieszcza nas tu pani, jak własne dzieci. Tylko patrzeć, jak dzięki pani talentowi będę wyglądał jak biskup. Albo arcybiskup.

Znacząco poklepałem się po wydętym brzuchu. Pani Janeczka znowu zachichotała.

Wiedziałem, że sprawiłem jej przyjemność. Była naprawdę przemiłą osobą, ledwie nieco po sześćdziesiątce. Przypominała mi moją babcię, która umarła, gdy byłem jeszcze mały. I ona chyba lubiła mnie także. Kiedy zjawiłem się w tym domu po raz pierwszy, już tu gospodarzyła. Chyba również traktowała mnie w sposób bardziej szczególny, niż pozostałych, podobno przypominałem jej syna, który kilka lat temu uciekł do RFN i słuch po nim zaginął. Toteż matkowała mi niemal na każdym kroku, aż pozostali domownicy czasami żartowali sobie z tego powodu w sposób bardzo niewybredny.

Pani Janeczka tymczasem zdążyła uprzątnąć brudne naczynia ze stołu.

-A jakieś zimne piwko znalazłoby się?- zagadnąłem i sekundę potem podała mi przyzwyczajoną schłodzoną butelkę Kujawiaka.

-Szklanekę podać?

-Eeee...- skrzywiłem się. Nie przepadałem za tym trunkiem. Gorzki jakiś, gazowany za bardzo. Przywykłem w tym miejscu do lepszych frykasów. -Heinekena nie ma?

-Skończył się- poinformowała ze smutkiem gospodyni- koledzy byli szybsi. A dostawa z Niemiec dopiero za parę dni ma dojechać.

-No cóż...- rzekłem rozczarowany i wlałam w siebie tę lokalną obrzydliwość jednym haustem. Beknięcie chwile potem przypominało grzmot i dalekie było od jakiegokolwiek melodyjności.

-Jakieś specjalne życzenia na kolację?- zmieniała temat kucharka- bo nie wiem, przygotowywać dla wszystkich to samo? I tak na wieczór wszyscy wybędziecie...

No fakt. Ledwie parę dni po Bożym narodzeniu i niedawno rozpoczęliśmy wizyty duszpasterskie. Parafia rozrastała się niemal błyskawicznie i coraz więcej osób oczekiwało słowa bożego pod własnym dachem.

-Już pani wie, co zrobić, żebyśmy tu wszyscy bili przed panią pokłony- rzuciłem nieco od niechcenia, bo czułem, że zaraz czeka mnie nieco dłuższe posiedzenie w toalecie. Twarz gospodyni znowu rozjaśnił uśmiech.

-Wiele dzisiaj rodzin do odwiedzenia?- zapytała pospiesznie widząc, że szykuję się do wyjścia.

-Tylko jedna. Oporni, rozumie pani- mówiąc to mrugnąłem do niej.

-Ach ci bezbożnicy...- pokręciła głową z nieudawanym obrzydzeniem- co to za ludzie...

-Pójdę do siebie- przerwałem widząc, że zbiera jej się na dłuższy monolog- trzeba odpocząć przed służbą. Dziękuję za przepyszny obiad.

Tym razem ograniczyłem się jedynie do grzecznościowej formułki. Obżarty i opity obawiałem się, iż całując jej dłoń mógłbym nieopatrznie puścić bąka z kleksem prosto w majtki. Cóż, Stwórca obdarzył mnie przemianą materii zaiste błyskawiczną.

-Miłego popołudnia- bąknąłem jeszcze wychodząc z kuchni.

Dochodziła godzina trzynasta. Za oknem biało i puchato, aż miło, choć przymrozek niewielki. Właśnie zaczynał padać śnieg.

3.

Właśnie wszedłem do swojego mieszkania. Właściwie trudno nazwać pokój z łazienką mieszkaniem, skoro wokół jak na drożdżach rozrastały się wielkopłytowe bloki z lokalami o przyzwoitym metrażu. Z drugiej jednak strony patrząc, z racji wykonywanego zawodu, cóż więcej do szczęścia mi potrzeba? Pracę mam pewną do końca życia, obowiązki niezbyt stresujące i raczej przyjemne. Bezpośredniego przełożonego naprawdę fajnego, trochę wymagającego, jednak bardzo ludzkiego. Zaś głównego dyrektora branży, którą reprezentuję nawet na oczy jeszcze nie widziałem, choć tkwię w tym biznesie niemal dwa lata. To i tak nieźle, słyszałem o kolegach, którzy pracują dla faceta po trzydziści lat i dotychczas nie mieli przyjemności poznać osobiście. A każdy jeden spina się bezgranicznie, że pewnego dnia, w jakimś innym wymiarze dostąpi wreszcie przywileju. Prawdę mówiąc także się do nich zaliczam.

Z roztargnienia zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Marek Branicki. Dobiegam trzydziestki, to znaczy jeszcze sobie trochę pobiegam, nim faktycznie ją dogonię, jeszcze przynajmniej kilka setek obiadów w perfekcyjnym wydaniu pani Janeczki upchnę w brzuchu. Jestem członkiem potężnej organizacji. Złe słowo. Nie lubię, gdy ktoś nazywa mnie członkiem, wolę określenie funkcjonariusz. Albo żołnierz. I tak mi się podoba. Taka jest prawda. Taka jest moja siła. Jestem wojownikiem Jezusa z Nazaretu. Jestem wikarym. Jestem kapłanem.

4.

Jednostka, w której przyszło mi pełnić służbę, bądź- jak to nazywają nieco bardziej prawomyślni- sprawować duszpasterską posługę, należała faktycznie do zupełnie nowych. Powstała z inicjatywy mojego bezpośredniego dowódcy, proboszcza Zbigniewa Trybińskiego. Korzystając z uprzejmości znajomych pogrzebałem trochę w kartotekach, żeby przekonać się, z kim będę miał do czynienia w codziennej pracy. Facet dobrze po pięćdziesiątce, wykształcony, otrząskany po różnych prowincjonalnych jednostkach. Cztery lata temu otrzymał polecenie utworzenia nowej parafii w tym dzikim rejonie. Był rok 1984. Na obrzeżach sporego wojewódzkiego miasta komuchy zdecydowali o budowie nowego, ogromnego osiedla. Takiej typowej, wielkopłytowej sypialni, dla kilkudziesięciu tysięcy obywateli.

Łatwo Trybińskiemu na pewno nie było. Dookoła teren porwany koparkami, brud i bajzel, pełen typów o wątpliwej moralności, przywiezionych nie wiadomo skąd, by realizować budowlany plan czerwonych.

Raczej nie chciałym pracować w takim miejscu od podstaw.

A facet potrafił. Ledwie w parę miesięcy wystawił z desek i papy prowizoryczną stodołę, którą siłą wielkiej tylko wyobraźni można było nazwać kaplicą. W międzyczasie do nowo powstałych bloków wprowadzili się pierwsi lokatorzy. Wśród nich znakomita większość okazała się gorącymi, choć z różnych przyczyn, ukrytymi zwolennikami naszej wizji sprawiedliwego świata. Fakt jest taki, że kilka miesięcy potem, z okazji świąt bożego narodzenia, w tej prowizorycznej betlejemce, na pastercie zgromadził się prawdziwy tłum wiernych. Choć było ciasno i ascetycznie.

5.

Parafia rozwijała się z dynamizmem godnym uznania i podziwu. Ledwie dwa lata po pionierskich przedsięwzięciach proboszcza Trybińskiego, parafianie mieli już do dyspozycji postawiony w czynie społecznym w pełni funkcjonalny, murowany i ogrzewany budynek, w którym mogli słowa bożego wysłuchiwać w warunkach może nie tyle komfortowych, co cywilizowanych. Trzy eucharystie dzienne. W niedzielę pięć. Na porannych posługach komplet emerytek. Wszystkie u stołu pańskiego. Niepracujące matki z małoletnimi dziećmi, nim te poszły jeszcze do szkoły. Zaś na wieczornych mszach niemal sama młodzież. Studenci. Pobliska uczelnia wyższa rozkwitała, napływ świeżej krwi. Konfesjonały przeżywały momentami prawdziwe obłężenie. Osiedle wciąż rozbudowywało się, parafia rosła w siłę i z braku jakiegokolwiek alternatywy w siermiężnej, socjalistycznej rzeczywistości, zaczęła nadawać ton lokalnej społeczności.

6.

Właśnie do tego miejsca trafiłem dwa lata temu, świeżo po ukończeniu seminarium. Czcigodni parafianie z niewielkiej wsi, z której pochodzę, sobie tylko znanymi metodami uprosili mego biskupa, by wprost ze studiów nie wyganiał mnie w jakąś odległą dzicz, lecz skierował do służby w choćby przyzwoitej placówce. Biskup miał widocznie do nich jakąś słabość, bowiem większość kolegów z roku rozpoczęła kariery po bliższych lub dalszych pipidówkach, gdzie kanalizacja i telefon wciąż stanowiły symbol luksusu, ja natomiast wylądowałem tutaj. Parafia pod wezwaniem Matki Boskiej Wspomożycielki Pomordowanych. Nazwa nieco dziwna, jednak jak twierdził proboszcz, kilka kilometrów stąd, w czasie drugiej wojny, faszyci wymordowali kilkaset istnień, wśród których znaczną ilość stanowili duchowni, stąd nazwa jednostki znakomicie komponowała się z jej lokalizacją.

No i narzekać w sumie też nie było na co, szczerze mówiąc, gdy wysiadłem z auta, odebrało mi mowę: nowoczesna kaplica, fenomenalne biuro parafialne. Tuż obok świeżo postawiony, jeszcze nawet nie otynkowany, budynek mieszkalny dla personelu. W nim cztery sypialnie z łazienkami dla nas, wikarych.

Jeszcze nie wiedziałem z kim przyjdzie mi służyć w tym miejscu. Na parterze kuchnia z jadalnią. Obok dobudowane salki katechetyczne, lokalna działwa miała w nich pobierać nauki religii.

Oprowadzający mnie proboszcz roztaczał pełne entuzjazmu wizje centrum kultury chrześcijańskiej, jakie miał zamiar tu utworzyć w nieodległej przyszłości. Potem podał klucze

do mojego pokoju i polecił się rozgościć, zapraszając później na poczęstunek do swojej kwatery. Podziękowałem serdecznie.

Z bagażnika swojego srebrnego volkswagena golfa wyjąłem dwie niewielkie walizki z rzeczami osobistymi. Zamknąłem drzwi, pieczołowicie sprawdzając zamki. Ten samochód to było moje oczko w głowie. Pierwszy w życiu, trochę tylko używany. Otrzymałem go na prymicje. Podobno wszyscy parafianie złożyli ofiarę, by mi go kupić. W dowód wdzięczności, jako podziękowanie, że jako pierwszy i dotychczas jedyny z nich dostąpiłem sakramentu kapłaństwa. Uśmiecham się na myśl o tym, pucując go codziennie.

Postawiłem bagaże na podłodze wzdychając ciężko. Pomieszczenie nie było zbyt obszerne, przede wszystkim jednak potwornie wystudzone i znajdowało się w nim jedynie krzesło oraz odrapany stół. Obszedłem je wokół kilka razy, zaglądając do łazienki, gdzie poza wanną i toaletą również niczego nie znalazłem. Siadając na krzesło dziękowałem sobie w duchu, że samochodzie mam zapakowany dmuchany materac. Wdzięczni ludzie z mojej rodzinnej parafii i tak obiecali dostać niezbędne wyposażenie kwatery najdalej w ciągu dwóch tygodni.

7.

Fajna była z nas załoga. Nieduża ale zgrana. No i szefa mieliśmy fajnego. Niby rzeczowy i konkretny, niekiedy w kontaktach służbowych lodowato wymagający ale wiadomo przecież, że dobry dowódca plus zgrany zespół stanowi siłę nie do pokonania. Byliśmy jak armia, zwarty pododdział. Zawsze chciałem być żołnierzem, może stąd takie moje militarne porównywanie. No cóż, wrodzona wada serca uniemożliwiła mi służbę w mundurze, czego tak naprawdę nie żałuję, choć po dzień dzisiejszy większy dreszcz emocji i pożądania czuję na widok moro niż sutanny czy habitu. A tak naprawdę przyjemniej spędzić było parę dłuższych lat w zacisznych, przytulnych bibliotekach, niż czołgać po kałużach, z błotem na twarzy, wykonując bezsensowne polecenia niedouczonego przełożonego. A chłopaki tak samo morowe, nieważne ludowe wojsko czy seminarium. No i przynajmniej ominęła mnie cała ta komunistyczna indoktrynacja, nikt nie nakłaniał do wstąpienia do partii. Chociaż chojraki ze służby bezpieczeństwa też nieustannie nas podejrzawali, próbując robić różne świństwa, rozmaitego kalibru.

Na swoją parafię trafiłem w ostatnim kwartale 1986 roku, jako przedostatni w drużynie i najmłodszy służbą. Niewielka była nas grupa, za to w pełni zaspokajająca potrzeby społeczności.

Przede wszystkim proboszcz Trybiński. Niski, siwiejący człowiek o przyjaznym usposobieniu i oddechu wawelskiego smoka. Ilekroć rozmawiało się z nim twarzą w twarz, należało zachować bezpieczną odległość. Woń z jego ust bywała obalająca. Może popsute uzębienie? Albo jakaś choroba układu trawiennego?

Razem z nim na placówkę przyjeżdżał jego przyboczny, albo adiutant, jak go żartobliwie nazywaliśmy, Włodek Erdyński. Przerażliwie wysoki i chudy jegomość, dobrych kilka lat ode mnie starszy. Kolega ów miał dwie przypadłości. Potwornie dygotały mu dłonie. Tak bardzo, że w trakcie podniesienia zdolny był unieść kielich ledwie kilka centymetrów ponad ołtarz. Z pewnych źródeł dowiedziałem się, iż nie mała w tym zasługa Trybińskiego. Otóż pewnego dnia podróżowali razem służbowo samochodem proboszcza. Jako młody stażem wikary Włodek próbował po drodze dogodzić swemu przełożonemu ręcznie czy też ustami, co nie jest zjawiskiem szczególnym, w wyniku czego wylądowali w rowie. Proboszczowi nic się nie stało, chociaż podobno świadkowie zdarzenia omal nie pękli ze śmiechu widząc, jak panicznie próbuje dopinać guziki sutanny. No i prawo jazdy stracił, bo prowadził po kilku

koniaczkach. Włodziu natomiast doznał urazu kręgosłupa. Na szczęście nic strasznego ale pełni władzy w rękach już nie odzyskał, stąd ten dygot. Nawet ministranci podśmiewali się z niego, że podczas poryfikacji potrafi nachlapać na ołtarz, czym doprowadzali go do skrajnej wściekłości.

Drugą z przypadku kolegi był całkowity brak umiejętności wokalnych. Tak skrajny, że kiedyś niemal wypadłem z konfesjonatu, zapominając udzielić rozgrzeszenia pewnej nobliwej niewieście, dusząc się ze śmiechu, gdy zaintonował Alleluja.

Kolega widocznie poczuł się dotknięty moją reakcją, czy też widząc kpiące uśmiešky w oczach parafian, gdyż od tego czasu ogranicza się jedynie do powierzchownych melorecytacji powierzonych tekstów.

Natomiast braku anielskiego głosu nie można zarzucić naszemu kolejnemu koledze. Krzysz Baranowski chyba minął się z powołaniem, zamiast do seminarium powinien być trafić do opery albo jakiegoś innego zespołu. Karierę zrobiłby z całą pewnością. Psalmi przez niego wyśpiewywane mają w sobie jakąś moc i krystaliczną czystość, aż ciarki człowieka przechodzą. Jego głos ma rzeszę oddanych fanek, które wydają się przychodzić na liturgie przez niego sprawowane tylko po to, by go posłuchać. I popatrzeć, bo przystojny jest, jak sam szatan. Niewysoki ale fenomenalnie zbudowany, ciemnowłosy i ciemnooki. Parafianki go uwielbiają, chyba ze wzajemnością, gdyż jako specjalista od najwcześniejszych mszy rzadko pojawia się po nich w domu wcześniej, niż w południe.

Oprócz tego w naszym zespole mamy dwie siostry. Nie mieszkają w naszym domu, lecz w pokojach przy kaplicy, zaraz za biurem parafialnym. Elżbieta, w podeszłym wieku, właściwie nie wiem po co tu jest. Prawie jej nie widać w codziennym życiu, nawet posiłki jada samotnie. Druga, młodsza, Judyta, naprawdę fajna kobitka, aż dziw bierze, że takie ładne, sympatyczne dziewczyny zakładają habity. Pracujemy czasami razem, pomaga mi pisać moje homilie.

No i ja. Proboszcz nakazał mi przygotowywać msze dla młodzieży i dzieci. A jeśli ich nie odprawiam, to przynajmniej dbać o oprawę muzyczno- wokalną. Bo podobno mam fajny głos, śpiewać potrafię i na gitarze gram a to bardziej przyciąga ludzi do ołtarza, niż jakieś smutne pitolenie na klawiszach. No i podobno ładnie wyglądam z tą swoją burzą blond loków, niby jakiś cherubinek.

I to już prawie wszyscy. Jest jeszcze jeden wolny pokój w naszym domu. Wszyscy czekamy niecierpliwie, wciąż nie wiedząc, kto się w nim zamelduje.

8.

Dokładnie wytarłem ręce. Sutanna na wieszak, wreszcie mogłem naciągnąć ulubione spodnie i bluzę. Adidas. Lubiłem tę markę. Wygodne, co prawda lekko sprane ale w niczym to nie uchybiało. W tych ciężkich, mało ciekawych i pozbawionych kolorów czasach wszystko, co szef sprowadzał dla nas z zachodnich Niemiec nosiło w sobie powiew luksusu. Oblizalem wargi, trochę z niesmakiem. Choć zwykle nie paliłem, tym razem pozwoliłem sobie na doskonałego Camela. Znakomite papierosy. Zwyczajowo trzymam paczkę lub dwie, tak na specjalne okazje. W razie, gdyby odwiedził mnie ktoś szczególnie ważny. Albo jakiś nieborak z rodzinnej parafii, z gęsią pod pachą albo wytłaczanką pełną jajek. Wtedy nonszalancko częstuję jednym z żółtej paczki. Niech widzą, że nie bieduję.

Dziś jednak nie miałem w planach żadnych odwiedzin, więc pozwoliłem sobie na ten luksus z innych powodów. Czekają mnie specjalne zadanie.

Jeszcze przed obiadem poprosił mnie do siebie proboszcz Trybiński.

-Siadaj- rzekł ciepłym głosem, wskazując miejsce przy stole, gdy tylko zamknąłem drzwi jego kwatery. Minutę później siostra Elżbieta postawiła przed nami imbryk parującej herbaty, jakieś krakersy, po czym zniknęła tak samo bezszelestnie, jak się pojawiła. Ostrożnie złapałem porcelanową filiżankę. Trybiński uśmiechnął się dobrotliwie.

-Wyborna- rozkoszował się naparem. Potwierdziłem skinieniem głowy.

Czułem się trochę zakłopotany, sytuacja zdawała się odrobinę niecodzienna. Co prawda szef zapraszał niekiedy na herbatkę, nigdy jednak o tak wczesnej porze, z reguły cały nasz zespół i spotkania te zwykle miały niezobowiązującą formułę.

Tym razem jednak byłem tylko ja a Trybiński sprawiał wrażenie bardzo czymś zafrasowanego. Chodził po puszystym dywanie w tę i z powrotem, jakby nie wiedząc od czego rozpocząć.

-W naszej parafii nie wszystko układa się po naszej myśli- podjął monolog- co prawda przybywa nam coraz więcej dusz, ludzie pchają się na nabożeństwa drzwiami i oknami. Ale jednak nie wszyscy!- niemal krzyknął- we wspólnocie wciąż znajdują się czarne owce. Przez chwilę chodził po pokoju szczerze poruszony. Doskonale go rozumiałem.

Choć nasza posługa spotykała się z powszechną aprobatą, czy to w trakcie codziennej służby czy też w trakcie duszpasterskich wizyt, co jakiś czas wciąż natrafialiśmy na gniazda oporu. W ciągu kilku ostatnich dni, kiedy to rozpoczęliśmy kolędowanie, kilka rodzin zdecydowanie odmówiło naszej posłudze. Nie chodzi o zwykłe niewpuszczenie kapłana za próg, bo w takim przypadku zwykle ponawialiśmy odwiedziny po kilku dniach. Nieco dalej jak przedwczoraj trafił się przeciwnik wyjątkowo jadowny. Co prawda ów lokator drzwi łaskaw był otworzyć, jednak tylko po to, by przybywającego kapłana poobijać, obrzucić stekiem wulgaryzmów i poszczuć psem. Pies był raczej nikczemnej rasy, zwykły pudel, ale tak samo zajadły, jak właściciel a zęby miał ostre i poszarpał sutannę. Dobra pani Janeczka wciąż próbuje ją naprawić. No i ministrantom napędził niezłego stracha, bo uciekli aż na półpiętro. Proboszcz Trybiński położył na stole niewielki neseserek.

-Z polecenia jego ekscelencji, księdza biskupa, upoważnieni jesteśmy do rozwiązywania takich sytuacji szczególnymi środkami. Sam ojciec święty sprzyja podobno temu rozwiązaniu. Zło dobrem zwyciężać nakazano i drugi policzek nadstawiać, jednak gniew Pana srogi jest i biada tym, którzy go zasmucają. Otwórz walizkę- nakazał cicho. Zajrzałem do środka. Niewielki krzyż, niklowane kropidło, używaliśmy podobnego w trakcie pogrzebów i dwie świece, ale chyba nie z wosku, raczej jakiś plastik. Zwykły zestaw potrzebny do duszpasterskiej wizyty. Zdziwiła mnie jedynie obecność czarnej taśmy izolacyjnej, która do niczego w tym momencie mi nie pasowała.

-Krzyż jest prosto z watykańskiej manufaktury. I żeby upредить twoje pytanie nie jest to zwykły krzyż- proboszcz wydobyl krucyfiks z walizeczki i zamachnął się szybkim ruchem. Ze zdumieniem zauważyłem, że jego pionowa belka w ułamku sekundy wydłużyła się trzykrotnie. Sprytny teleskopowy mechanizm zamienił go teraz w metalową pałkę. Trybiński podał mi go z uśmiechem.

-To jakby przedłużenie karzącej ręki Pana- zażartował- idealna długość i waga, by każdemu wybić z głowy niechęć do naszych odwiedzin.

Wziąłem narzędzie do ręki. Faktycznie, takiego oręza mogłoby pozazdrościć nawet ZOMO. Demonstranci z Solidarności odebraliby niezły łomot. Uderzenie nim w plecy albo inną część ciała do przyjemności ciężko byłoby zaliczyć. Spodziewałem się, że pozostała zawartość walizki jest również zaskakująca.

-W kropidle nie ma wody- instruował proboszcz- i lepiej z nim uważaj.

-A co w nim jest?

-Solny kwas- wyjaśnił, jakby chodziło o zupełną oczywistość- wypali szatana nawet z najbardziej zainfekowanej duszy. Świece też nie są zwykłe. Jedna to miotacz gazu paraliżującego. Druga miota ładunki elektryczne, jeśli tylko kogoś nią dotkniesz i przyciśniesz przycisk- tu nacisnął niewielki guziczek i świeca z charakterystycznym trzaskiem rozbłysła niewielkimi wyładowaniami elektrycznymi. Pięćdziesiąt tysięcy woltów- rzucił proboszcz jakby od niechcenia.

-A po co w takim razie ta taśma klejąca?- wciąż nie mogłem pojąć.

-To już zależy tylko od ciebie. Możesz nią na przykład zawiązać ręce, które odpychają wysłannika naszego Pana. Albo zakleić usta miotające bluźnierstwa.

Pojedziesz dziś do tych nikczemników, którzy ostatnio tak bezczelnie pogonili księdza Krzysztofa. Wejdiesz do ich mieszkania i przeprowadzisz kolędę, jakiej jeszcze w życiu nie widzieli. O ile w ogóle jakąś widzieli, komuniści, bezbożnicy- dyszał ociążale aż zapach jego oddechu cofnął mnie o pół kroku- i nie zapomnij zadać im pokuty odpowiedniej do popełnionego grzechu. Niech po parafii rozniesie się, że kolędę przyjąć to obowiązek każdego. No i oczywiście nie zapomnij o finansowej ofierze, której nie złożyli. Może być zawiązką. Cokolwiek uczynisz, masz moje błogosławieństwo, gdyż na bożą chwałę czynić to będziesz. Tutaj masz adres.

Spojrzałem na podaną karteczkę. Niedaleko, ledwie kilkaset metrów. To nowy siedmiopiętrowy blok. Większość mieszkańców to partyjni, przynajmniej tak ludzie mówili, teren teoretycznie pełen opornych, jednak, co dziwne, w tym roku odwiedziliśmy tam wszystkie mieszkania. Poza tym jednym.

Wziąłem walizeczkę i pożegnałem z przełożonym. Nim dotarłem do swego mieszkania w głowie miałem już ułożony cały plan wizyty.

Postanowiłem być skuteczny i radykalny. Niewierni parafianie, których odwiedzę dziś wieczorem srodze pożałują swoich grzechów.

9.

Od kolegi z seminarium otrzymałem niedawno płytę. Radość moja była ogromna, taki prezent w tych czasach to niezwykłość. Rarytas. A już jej zawartość, to prawdziwa rozkosz dla mych uszu. Deep Purple. W koncertowej wersji, nagranej na początku lat siedemdziesiątych w Japonii. Prawdziwa perełka. Dotychczas wiedziałem jedynie, że coś takiego istnieje a teraz trzymałem to w rękach. Postanowiłem zrelaksować się odrobinę przed czekającym mnie wieczorem trudem. Z barku wyjąłem butelkę wódki żytniej, nalałam z pół szklanki i wychyliłem jednym haustem. Wiedziałem, że za chwilę alkohol zwali mnie z nóg, jako że piłem raczej okazjonalnie, dlatego ostatnie chwile trzeźwości poświęciłem na zawinięcie się w pled i założenie na uszy słuchawek. Przez głowę przeszła mi myśl, że powinienem być raczej posłuchać kolęd, jednak odgoniłem ją szybko i przymykając oczy po chwili pędziłem już autostradą, w rytm dźwięków "Highway star". Genialny utwór. Alkohol przyjemnie rozpląwał się po mych żyłach. Odpląwałem już w niebyt.

10.

Dookoła pachniało sianem. Lubię ten zapach, przypomina dzieciństwo spędzone na wsi. Wciągnąłem głębiej powietrze i czar prysł. Zajechało amoniakiem, zwierzęcymi odchodami, jak ze stajni. Poruszyłem się niespokojnie ale coś krępowało moje ruchy. Z ledwością

otworzyłem oczy, bo powieki dosłownie kleiły się do siebie. Nade mną pochylała się młoda, ładna kobieta. Taka jasna, dobra, spoglądała na mnie z czułością, z jaką chyba nikt nigdy na mnie nie patrzył. Obok ujrzałem brodatego jegomościa, który dla odmiany przyglądał mi się wzrokiem raczej dalekim od czułego. Stał w kącie, coś do siebie czy kogoś mamrocząc ale nie rozumiałem z tego ani słowa. Jakiś inny język chyba. Sam leżałem wciśnięty w jakieś drewniane koryto albo skrzynkę, nie wiem. Ciasno mi w nim było, twardo i niewygodnie. Oboje wyglądali na zakłopotanych. I dlaczego są tak dziwnie ubrani? Pozawijani w jakieś chusty, sukmany do samej ziemi, jak wieśniaki albo postacie z obrazów w naszej kaplicy. Współcześni ludzie w ten sposób się nie ubierają. W pomieszczeniu panował półmrok, dlatego kątem oka, przez okno, wyraźnie dostrzegłem na niebie błyszczącą zimnym światłem gwiazdę, większą, jaśniejszą niż pozostałe. Gdzieś obok zabeczka owca czy jakaś inna koza a na zewnątrz budynku zdawała się przebywać grupa osób, rozmawiających półgłosem z wyraźnym przejęciem.

Gdzie ja na litość boską jestem?!

Zamknąłem oczy i z niewiadomych powodów poczułem ucisk w kroczu. Bolesną erekcją, jakiej chyba jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyłem. Jakby cała krew z mojego organizmu skumulowała się w jednej chwili właśnie w tym miejscu. Jednak niemal w tej samej chwili ból ustąpił miejsca trudnej do opisu przyjemności.

Coś miłego, ciepłego i wilgotnego przesunęło się rytmicznie po moim penisie, góra, dół, góra, dół, tam i z powrotem.

Poczułem stado motyli szalejących w moim podbrzuszu, z trzepotem delikatnych skrzydeł przelatujących w stronę przyrodzenia. Poruszyłem biodrami ku górze czując, że zbliżająca się ekstaza wystrzeliła mnie pod niebiosa. Z wysiłkiem uniosłem powieki dostrzegając, że źródłem mej przyjemności jest owa niewiasta, którą widziałem przed chwilą. Jej głowa to pochylała, to znowu odsuwała od mojego kroczu. Nie byłem już w stanie dłużej się powstrzymać.

-Matko boska...- zawyłem przeciągle, czując się jak wulkan tryskający gorącą, rozkoszną lawą. Jej erupcja powtórzyła się kilkakrotnie, intensywnie, aż poczułem, że jestem w środku zupełnie pusty. Wtedy nagle ktoś lub coś klepnęło mnie w udo a ja otworzyłem oczy na całą szerokość. Stajnia i dziwne osoby zniknęły w jednej chwili a ja byłem z powrotem w swoim mieszkaniu. Dresowe spodnie leżały na podłodze obok rozrzuconego pledu. Nade mną pochylała się roześmiana, puciołowata, tu i ówdzie zachlapana białym kiślem twarz mężczyzny.

-Ale byłeś naładowany. Prawdziwa bomba. Nikt chyba długo nie robił ci dobrze, przyznaj się, co? Jeszcze chwila a udławiłbym się- powiedział chichotając. Powstał z kolan przecierając usta dłonią.

-Masz chusteczkę?

-Tomasz!- wykrzyknąłem radośnie- skąd się tu wzięłeś?

Moja radość była bezgraniczna. Tomka Czulińskiego poznałem w czasie wakacji, parę lat wstecz, zanim jeszcze wstąpiłem do seminarium. Dopiero co ukończyłem osiemnaście lat. W sercu czułem już, że resztę życia chcę poświęcić służbie Bogu. Wybrałem się więc na pieszą pielgrzymkę na Jasną Górę, aby utwierdzić się w swym powołaniu. Monotonne kilometry codziennego marszu, wspólne modlitwy i śpiewy, cała ta magiczna atmosfera upewniły mnie tylko, że droga, którą podejmuję jest słuszna. Drugiego dnia marszu poznałem właśnie jego. Fajny facet, gaduła, wesoły i zawsze uśmiechnięty, wspólnie służyliśmy do codziennych mszy i w każdy inny sposób staraliśmy się uczestniczyć we wszystkich formach aktywności

wspólnoty. Zaś przede wszystkim dużo dyskutowaliśmy. On także wybrał już życie duchowe. Na przedostatnim postoju przed Częstochową, gdzieś w jakiejś wiosce, zabrakło dla nas noclegu. Cała grupa rozproszyła się pomiędzy miejscowych, my zostaliśmy. Noc była ciepła i gwiaździsta. Rozłożyliśmy śpiwory obok siebie, na czyimś polu, obok stogu siana.

Gadaliśmy długo w noc, nieco łamiąc nakaz prohibicji w czasie pielgrzymki. Opowiadaliśmy anegdoty ze swojego życia, śmiejąc się i przekrzykując nawzajem. Było jakoś podniosłe, niezwykle, inaczej niż dotychczas. Nad naszymi głowami co rusz śmigały perseidy, wszak był sierpień, dlatego do każdej spadającej gwiazdy wykrzykiwaliśmy życzenia, mniej czy bardziej poważne, za to wszystkie do natychmiastowego spełnienia. Dobrze nam było w swoim towarzystwie. Nawet nie wiem jak to się stało ale niedługo później leżeliśmy obok siebie, zupełnie nadzy. Dyszeliśmy ciężko, smakując nasze ciała najpierw nieśmiało i niepewnie a potem zachłannie i niecierpliwie, poznając nieznane coraz głębiej, mocniej, namiętniej, aż do braku tchu, do zatracenia.

Następnego dnia pielgrzymowałem prawdziwie szczęśliwy i odmieniony, choć każdy krok sprawiał mi odrobinę bólu. A potem okazało się, że jesteśmy na tym samym roku, cóż za cudowny zbieg okoliczności. Pozostawaliśmy w bardzo bliskiej relacji przez cały okres studiów. Niektórzy z kolegów nawet nam zazdrościli, więc ten i ów oberwał po nosie, gdy lekkomyślnie próbował zbliżyć się do któregoś z nas. Potem nasze drogi nieco się rozeszły, ja trafiłem na tutejszą placówkę, mojemu lubemu udało się wyjechać do Rzymu, by kontynuować naukę. Przez cały czas pozostawaliśmy w listownym kontakcie jednak do dzisiaj licząc nie widzieliśmy się ponad rok czasu. Aż tu nagle taka niespodzianka!

Tymczasem Tomasz wytarł starannie usta z resztek mojego nasienia. Naciągnąłem na dupsko spodnie, starannie złożyłem pled w równą kostkę i dopiero wtedy podszedłem do gościa. Cmoknąłem w policzek i objąłem z czułością. Kochane, męskie ciało. Takie umięśnione, silne. Pachnące kwiatami. Poczułem, jak ogarnia mnie fala szczęścia i ciepła. Nie mogłem wyobrazić sobie lepszego zakończenia tego roku. Wszak to dziś jego ostatni dzień.

Tomasz zauważył stojącą butelkę wódki. Odkręcił, powąchał i nie przejmując zbytnio pociągnął solidny łyk prosto z gwinta. Chyba nie posmakowała mu za bardzo, bo jego mina wyglądała, jakby napił się przynajmniej jakiejś trucizny.

-Skąd się tu wziąłem?- odpowiedział pytaniem na pytanie- to twój szef nie mówił?

-Nie. A powinien być coś mówić?

-W takim razie postanowił zrobić ci noworoczną niespodziankę. Od dzisiaj zaczynam u was pracę. Właściwie, to od jutra. Ostatni dzień roku, ostatni dzień swobody. Nie masz dzisiaj za dużo roboty, mam nadzieję? Dzban dobrego wina przywozłem stamtąd, powinniśmy uczcić nadejście nowego roku. I nowej drogi dla nas. Czy ty wiesz, że ledwie dwa dni przed świętami wróciłem z Włoch!

-No proszę. I co tam w słonecznej Italii?- zapytałem z lekką nutką złośliwości. Wyjazd na studia za granicę też był moim marzeniem.

-Masz pozdrowienia od ojca świętego- parsknął.

-Dziękuję- parsknąłem także- miewa się jakoś nasz stary pocziwy Jan Paweł?

-A nie narzeka. Chociaż jakiś uparty Turek kartki z więzienia do niego przysyła i twierdzi, że jego zdaniem jest postrzelony.

-A szefa nie spotkałeś?

-Nie, problemy rodzinne ma podobno. Matka mu nie domaga, jego syn jakiś przybity chodzi i twierdzi, że duchy widzi. I do tego pędzi nielegalnie wino. Szef podobno opowiadał komuś, że jeszcze chwila i zostanie od tego wszystkiego świętym.

Wybuchliśmy gromkim śmiechem. Ach ten Tomasz! To jego rubaszne poczucie humoru! Kilkaset lat wstecz za takie żarty odarliby nas ze skóry, nadziali na pal żywcem, na sam koniec spalili na stosie a prochy wrzucili do pierwszego lepszego kibla. Jakie to szczęście, że żyjemy w dwudziestym wieku.

Przez dłuższą chwilę rzeliśmy niczym młode żrebaki, trzymając za brzuchy i wylewając ze śmiechu wiadro łez. Tomasz pierwszy się opanował.

-Idę po swoje graty do samochodu. Wiesz, że będziemy mieszkali naprzeciwko siebie? Daj znać, jak już będziesz wolny. A teraz lecę się ogarnąć. No i umieram z głodu. Słyszałem, że macie tu świetną kucharkę?

-Ano mamy- klepnąłem się w kałdun- pięć kilo już przytyłem.

-A ładna chociaż?

-Ty, ty!- pogroziłem mu paluchem- stara jest. I dla ciebie nieładna.

Tomasz znowu się roześmiał. Uwielbiałem go za ten uśmiech.

-Oj ty stary zazdrośniku, nic się nie zmieniłeś. No, lecę.

Uścisnął mnie mocno, poklepując po pupie. Nie zapomniał, jak bardzo za tym przepadam.

Trzasnęły drzwi i Tomasz poleciał, niczym huragan.

Stałem przez chwilę, trochę rozmarzony. Przez chwilę nie wiedziałem, czy to nie jakieś przewidzenia albo sen. Ale nie, powietrze w pokoju wciąż pachniało tym niespodziewanym gościem. Zerknąłem przez okno. Śnieg sypał całkiem porządnie i widziałem, jak Tomek kuląc się przed padającymi płatkami zmierza w stronę auta.

Zegar wskazywał godzinę szesnastą zero pięć. Najwyższy czas się zbierać do pracy.

11.

-Króluj nam Chryste. Króluj nam Chryste. Króluj nam Chryste- usłyszałem chyba ze dwadzieścia razy, jak echo, gdy tylko przekroczyłem próg zakrystii. Służba liturgiczna, choć ledwie dziesięcio, trzynastoletnia czekała zwarta i gotowa, by ruszyć w duszpasterskie odwiedziny. Szanowałem tych chłopców za entuzjazm i zaangażowanie, z drugiej strony doskonale zdając sobie sprawę, że ich podstawową motywacją są datki, jakie zbierać będą do puszek. Mimo tego podobał mi się ten dziecinny zapał i radość. Stali tacy porozpinani, w kurtkach narzuconych na białe komeżki, zniecierpliwieni, gotowi pobiec we wskazane miejsce, dzwonić dzwoneczkami i wyśpiewywać kolędy, jak takie małe psiaki. Zawsze przed wyruszeniem w teren przeprowadzałem taki niby apel, odprawę, jak we wojsku, przed bitwą.

-Kurtki pozapinać- rozkazałem niby stanowczym ale i żartobliwym tonem- bo płaszki wam pozamarzają na tym zimnisku i poodpadają. I żeby mi żaden kolęd nie fałszował, bo dzwoneczki pozabieram i wsadzę sami wiecie gdzie. Jasne?!

Rozległ się gromki śmiech. Wiedziałem, że ci chłopcy mnie uwielbiają, bardziej niż swojego opiekuna, Włodka. Zawsze potrafiłem z nimi pożartować, tego czy tamtego pociągnąć za ucho. Niektórych czasami zapraszałem do swojego mieszkania. Czuję się doskonale patrząc, jak stremowani przekraczają mój próg, jak patrzą pełni nabożnego podziwu na mój kolorowy telewizor z pilotem, zestaw audio czy nowoczesną meblościankę. Kazałem im wtedy usiąść, na video włączałem Toma i Jerrego albo jakichś innych Flinstonów. Stawiałem miseczkę z niemiecką, orzechową, mleczną czekoladą, poitem pomarańczowym sokiem i patrzyłem z czułością, jak stopniowo się rozluźniają, zaczynają czuć swobodnie i jak bardzo

żał im wracać potem do ich rzeczywistości, nie tak kolorowej, jak moja. A później, nocą, wyobrażałem, że każdego po kolei rozbieram, dotykam, całuję i robię, na co tylko mam ochotę. W tajemnicy przed całym światem założyłem sobie nieduży zeszytek, nazywam go kajetem grzechu. Zapisuję w nim niemal każdą ze swych fantazji na temat tych chłopców, każdą czynność wykonywaną w stosunku do nich opisując z lubieżną precyzją. Nazbierało mi się historii, czytam je zawsze przed snem, zasypiając z krwią gotującą się w żyłach. Nocne majaki sprawiają, że wstaję bladym rankiem jeszcze bardziej pobudzony. Dotychczas nie przekroczyłem granicy i nie miałem odwagi zbliżyć się do żadnego z nich w sposób, jakiego pragnę, dlatego każdego dnia o świcie grzeszę ręką nad umywalką, by potem skruszony przepraszać Stwórcę z swą słabością i niegodziwością, bijąc pokutnie w piersi podczas pierwszej, porannej mszy.

Chłopcy stali w zakrystii, patrząc na mnie z wyczekiwaniem.

Specjalnie poprosiłem Włodka, by nie wywieszał dzisiaj planu kolędy. Zwykle taką rozpiskę, kto, z kim i dokąd ustalał kilka dni naprzód, by mieć święty spokój, jednak dziś było inaczej. Do mojego zadania potrzebowałem specjalnych chłopców, takich, co już znają teren, których mogłem być pewien i których wolałem wybrać sam.

-Jakubik! Słomiński!- wywołałem ministrantów. Ich buzie rozświetlił uśmiech. Wiedziałem, że będą się cieszyć. W mig stanęli przy mnie.

- Dokąd idziemy, proszę księdza? - Jakubik jak zawsze wszystko chciał wiedzieć pierwszy. Ten drugi, Marcinek Słomiński, stał cichutko, trochę jednak stremowany.

Wyszliśmy z zakrystii, kierując się w stronę parkingu przed moją kwaterą. Śnieg padał ledwie przez dwie godzinki, ale wystarczyło, żeby mój golf zniknął pod białą kołderką. Otworzyłem bagażnik, ostrożnie, by nie nasypać do środka. Jakubikowi podałem szczotkę.

-Wszystko w swoim czasie- zarządziłem- najpierw trzeba zgarnąć te zasy.

-Hura! Pojedziemy autem!- chłopcy z entuzjazmem rzucili się do odśnieżania. Przez chwilę zrobiło mi się nawet żal tego młodszego, bo zabrał się do roboty używając rękawa kurtki, jako, że nie dałem mu żadnego narzędzia. To się jednak nazywa szacunek dla woli osoby duchownej, pomyślałem z satysfakcją, czując łaskotanie w trzewiach. Po śniegu na karoserii wkrótce nie było śladu. Dochodziła szesnasta czterdzieści. Za wcześnie, by zaczynać robotę. Zgarnąłem chłopców ramieniem.

-Zmarzliście, trzeba się rozgrzać. Gorące kakao i świąteczne pierniczki?

Okrzyk radości stanowił prawdziwy miód dla mojego serca. Weszliśmy do mojego mieszkania. Chwilę potem patrzyłem z radością, jak kosztują pyszności, którymi ich podjąłem. Na wideo włączyłem nową kasetę Jetsonów, których żaden z nich jeszcze nie oglądał. Sebastian Jakubik rozsiadł się ze zwykłą u siebie nonszalancją. Bywał już u mnie kilkakrotnie. Pochodził z ubogiej, wielodzietnej rodziny, w której ojciec, podrzędny robotnik z zakładów naprawczych taboru kolejowego wyższe uczucia okazywał jedynie codziennej flaszce najtańszej gorzałki, zaś matka próbowała utrzymywać i ogarniać młodsze rodzeństwo. To był dom daleki od rodzicielskiej czułości, niemniej jednak rodzinę często widywaliśmy na nabożeństwach, nawet w ciągu tygodnia, zaś Sebastian był członkiem służby liturgicznej od samego początku istnienia parafii. Miał już trzynaście lat i raczej daleko było mu do anioła, zawsze pierwszy do przepychanki i pyskówki, w szkole także sprawiał sporo trudności. Miał jednak prawdziwy talent do sportu, piłkę kopał chyba najlepiej na całym osiedlu i drzemał w nim prawdziwy potencjał. Szkoda byłoby, żeby go zmarnował i za kilka lat wylądował w jakimś kryminale, dlatego po długich dyskusjach z matką zapisałem go na zajęcia karate w pałacu młodzieży, które z własnej kieszeni opłacałem i od pewnego czasu

raz w tygodniu osobiście woziłem na treningi, czekałem w szatni, patrzyłem, jak spocony przebiera się. Kilka razy nawet pojechaliśmy wprost do mojego mieszkania, pod pretekstem wyprania przepoconych majtek, koszulek i spodenek. Przyjemnie było wdychać zapach potu tego młodego, zdrowego ciała, patrzeć, jak chłopak siedzi zawinięty w mój koc, wiedząc, że nie ma nic pod spodem.

Drugi z moich dzisiejszych ministrantów zachowywał się mniej swobodnie.

W przeciwieństwie do swojego kolegi siedział grzecznie, trochę może nawet sztywno. Popijał gorące kakao ostrożnie, żeby się nie oparzyć, ciasteczka chrupał rozważnie, aby nie nakruszyć a na pytania odpowiadał pełnymi zdaniami. Rozglądał po pomieszczeniu z powściągliwą ciekawością. Taki prymusik, na pierwszy rzut oka znać było dobre wychowanie, mimo, że miał dopiero jakieś dziesięć lat. Pewne cechy ma się po prostu we krwi, niezależnie od wieku. Niewiele udało mi się o nim dowiedzieć, mimo to podobał mi się ten chłopiec, czułem, że dobrze zrobiłem wybierając go na dzisiejszą akcję.

Stałem za nimi, patrzyłem oparty o futrynę drzwi do łazienki, z rękoma w kieszeni, od czasu do czasu wskazującym palcem pocierając delikatnie swoje przyrodzenie.

Na takim błogim nicnierobieniu spędziliśmy niemal dwie godziny. Chłopcy oglądali co im włączyłem a i ja w końcu usiadłem obok i zdrzemnąłem chyba, trochę wcześniej łamiąc swoje zasady i nalewając miarkę alkoholu. Dochodziła dziewiętnasta.

-Zbierajmy się- zarządziłem wyłączając kreskówkę. Ministranci z ociąganiem zwlekli się z sofy. Im też udzieliła się atmosfera sobotniego, leniwego popołudnia, ostatniego w tym roku i odeszła chęć do łożenia po obcych domach, chociaż Sebastian co chwilę przebąkiwał coś o datkach do puszek, które uciekają mu sprzed nosa.

-Nie marudź- rozkazałem mu prawie ze złością- idziemy dzisiaj odwiedzić jedną specjalną rodzinę. Dostaniesz od nich wszystko, co tylko będziesz chciał.

-Wszystko?- upewniał się chłopak.

-Co tylko dasz radę od nich zabrać.

-A szmal też, proszę księdza?

-A jak- zrobiłem ważną minę.

-A dużo?

-A ile tylko znajdziesz.

-A zabawki?- wtrącił milczący dotąd Marcinek

-Głupek!- zakpił z kolegi Sebastian.

Dość! Teraz naprawdę przesadził. Nakrzyczałem na niego, kategorycznie zabraniając w przyszłości używać w stosunku do kolegi brzydkich słów.

Na ławie postawiłem przyniesioną od proboszcza Trybińskiego walizeczkę i wyłożyłem jej zawartość.

Dziecięce docinki natychmiast ustąpiły miejsca wrodzonej ciekawości. W kilku prostych słowach przedstawiłem swoim ministrantom cel dzisiejszej kolędy.

-To ci z tym wstrętnym kundlem! Oni nas ostatnio wygonili i księdza Krzysztofa pobili- zawołał z przestraszeniem Marcinek.

-Dzisiaj to oni będą się bać- mruknąłem ze złośliwą satysfakcją.

Chłopcy zajęli się zapoznaniem z niezwykłymi rzeczami, które im pokazałem. Dzieciaki są doprawdy bystre i już po chwili Sebastian dzielnie wymachiwał teleskopowym krzyżem, aż znowu musiałem udzielić mu reprimendy zaznaczając, że to produkt poświęcony. Emocje Marcinka wzbudziło natomiast kropidło. W ostatniej chwili udało mi go powstrzymać przed próbą poświęcenia kwasem solnym mojej komnaty, jednak chwila nieuwagi i kilka kropel

uronił wprost na wyprasowane przez mamę spodnie, wypalając w nich dziurę. Szczęśliwie nie zrobił sobie żadnej krzywdy.

Wychodziliśmy już do samochodu a on wciąż się martwił:

-Mama się na mnie wkurzy...

12.

Do bloku, który mieliśmy odwiedzić było zaledwie kilkaset metrów, jednak pojechaliśmy autem. Mimo, że było dość ślisko, główna droga osiedla właściwie nieodśnieżona a ja byłem po kielichu, co prawda tylko jednym, ale zawsze.

Zimno, odechciało mi się spacerować wieczorem po osiedlu, z dwójką gówniarzy.

Zaparkowałem naprzeciw właściwej klatki schodowej.

Wierzchnie odzienie zostawiliśmy w pojeździe, ruszyliśmy w samych tylko komżach, no i ja ze stulą oczywiście. W rękę neseser od księdza proboszcza.

Dokładnie sprawdziłem, czy drzwi od auta są zakluczone.

Dziś sylwester, na ulicach już prawie nikogo, ludzie siedzą po domach z rodzinami, przyjaciółmi, kolorowe jarmarki huczą z głośników, wódka leje się strumieniami i dopiero o północy nawalone towarzystwo wylegnie przed swoje bloki, by przekrzykiwać życzeniami obficie podlanymi radzieckim szampanem. Do tego czasu po mnie i moich chłopcach nie będzie już śladu. Weszliśmy na klatkę schodową a Marcinek przywołał windę. Obskurna, zniszczona kabina, mimo, że blok niedawno postawiony, uwiozła nas ku górze. Mieszkanie, w którym mieliśmy złożyć duszpasterską wizytę, mieściło się na ostatnim piętrze. Rozdałem chłopcom instrumenty i przyłożyłem ucho do drzwi.

-Są w domu- mruknąłem ni to do siebie, ni do ministrantów. Ci nabrali powietrza do płuc, przestępując z nogi na nogę. Stresowali się, to pewne ale i mnie udzielił się pewien niepokój.

-Niech ksiądz uważa. Kundel!- sapnął czerwony na twarzy Marcinek.

Naciągnąłem rękawiczki na dłonie, zwykłe, skórzane, żadne tam złodziejskie czy bandyckie, ale zawsze to większe prawdopodobieństwo, że nie zostawię żadnych niepotrzebnych śladów. Jeszcze w seminarium zaczytywałem się w powieściach kryminalnych, właściwie to byłem nawet fanem niebieskiej serii spod znaku „Ewa wzywa 07”, stąd też moja przezorność.

-Tylko chłopcy, po cichutku. Żadnego dzwonienia na początek- poinstruowałem jeszcze swoją drużynę i ostrożnie nacisnąłem klamkę. Niech się dzieje wola nieba.

Na szczęście drzwi nie były zakluczone i jak cienie, niemal bezszelestnie wsunęliśmy się do mieszkania.

Nie znałem planu lokalu, dlatego ostrożnie wystawiłem głowę z przedpokoju, nasłuchując dochodzących głosów. Zgodnie z danymi z naszych ksiąg parafialnych w mieszkaniu powinni znajdować się ich właściciele z dwójką dzieci w wieku wczesnoszkolnym. Plus pies, który dotychczas nawet nie poczuł naszej obecności.

Na pierwszy rzut oka, mimo, iż byliśmy dopiero w przedpokoju, mieszkanie sprawiało wrażenie, że zamieszkują je osoby o statusie materialnym wyższym od przeciętnego.

Może jakiś karierowicz, lokalna szyszka z komitetu wojewódzkiego? Albo inżynier, większą część roku spędzający na zagranicznych kontraktach?

Zresztą nieważne kto, istotnym jest, że postąpili wbrew powszechnie przyjętym zasadom, wyrzucając za drzwi kapłana przychodzącego ze słowem bożym. Pomimo faktu, że wszyscy inni mieszkańcy postąpili zgoła na odwrót.

Dziś przyszedł odpowiedni moment, by odkupili grzech i stąd nasza tutaj obecność.

Pozwoliłem ministrantom stanąć przed sobą i wydałem rozkaz:

-Wchodzimy!

-Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem, wesola nowina- zaintonował Marcinek głosem zadziwiająco silnym i melodyjnym jak na dziesięciolatka. Sebastian zaczął wydzwaniać swym dzwonkiem z całych sił.

-Że panna czysta porodziła syna- podchwyciłem tekst kolędy i w ten oto sposób bezceremonialnie wtargnęliśmy do dużego pokoju, gdzie przy suto zastawionym stole, na którego widok dosłownie ciekła ślinka, wieczerzała rodzina.

Dwoje dorosłych i dzieciaki, żadnych obcych, zgodnie z planem.

Pies dopiero teraz jakby oprzytomniał i ruszył na nas dziko szczerząc i szczerząc kły.

Ujadał jak oszalały, najwyraźniej nie będąc pewien, kogo by najpierw użreć.

Sebastian nie zastanawiał się ani chwili. Jako urodzony piłkarz wypalił psu pięknego kopniaka prosto w głowę. Zwierzę dosłownie odleciało z miejsca, w którym przed chwilą stało i uderzyło o komodę, na której pysznił się piękny, lśniący nowością, kolorowy japoński telewizor. Był akurat włączony, na ekranie tłusty rzecznik rządu o aparycji wieprza, w imieniu komitetu centralnego, swoim i pierwszego sekretarza, składał narodowi najserdeczniejsze życzenia dosiego roku.

Serdecznie nie lubiłem tego człowieka.

Rozłożyłem ramiona w geście, jakbym chciał powitać długo oczekiwanego przyjaciela i głosem najbardziej z uroczystych oznajmiłem:

-Pokój temu domowi!

-I wszystkim jego mieszkańcom!- odkrzyknęli moi ministranci.

Bystre chłopaki, znają się na robocie, stanęli tak, że miałem ich po obu swoich stronach. Gospodarze patrzyli na nas w osłupieniu.

Po sekundzie, która zdała się wiecznością pan domu nagle uniósł się zza stołu.

-Co wy tu robicie, do kur...- nie zdążył dokończyć.

Spodziewałem się takiej reakcji i dlatego postanowiłem wyprzedzić fakty.

Wziąłem zamach trzymany w dłoni krucyfiksem, który w jednej chwili zmienił się w pałkę. W oczach gospodarza dostrzegłem jeszcze bezgraniczne zdumienie, gdy uniosłem ją ku górze. Krótki świst powietrza, jedno celne uderzenie w głowę i gospodarz, rosłe chłopisko, dobrze ze sto kilo żywej wagi, zwałił się bez przytomności na podłogę. Legł bez ruchu a z rozbitej czaszki na podłogę sączyła się krew. Również moje zdumienie było przeogromne. Nie spodziewałem się, że ta oręż posiada iście szatańską moc.

Jego żona, elegancka kobieta w wieku lat około trzydziestu, dotychczas oszołomiona najściem, milcząca i pachnąca zagranicznymi perfumami, naraz poczęła przeraźliwie krzyczeć. Na krótką jednak chwilę, gdyż czuwał nad nią mały Słomiński. Zwinnym ruchem dziesięciolatka doskoczył do niej z paralizatorem sprytnie ukrytym w imitacji świecy, dotknął w sam środek klatki piersiowej i nacisnął guziczek uruchamiający urządzenie. Suchy trzask elektrycznego wyładowania i zwiotczała kobieta padła na podłogę, tuż obok swojego małżonka.

-A wy tu cicho!- wskazującym paluchem Marcinek wycelował w siedzące przy stole rodzeństwo- bo was zaraz...

-Nie strasz dzieci- upomniałem chłopca.

Wydobyłem z kieszeni dwa obrazki przedstawiające Świętą Rodzinę pochyloną nad żłobem, w którym leżało nowonarodzone Dziecię. Na odwrocie miały wydrukowane życzenia: „szczęść Boże”. Wręczyłem je smarkaczom.

Sprawdziłem, czy leżącym dorosłym biją serca. Żyli, choć byli nieprzytomni.

Od chwili, kiedy wkroczyliśmy ze śpiewem do pokoju minęła może minuta i w zasadzie mogliśmy już stąd iść.

Proboszcz Trybiński życzył sobie jednak, aby moja wizyta miała przebieg szczególny, kazał także, żeby nawiedzona przez nas rodzina złożyła stosowną ofiarę.

Biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowali, nie liczyłem na dobrowolny datek, musieliśmy więc postarać się o niego sami. Szczególnego przebiegu wizyty też nie byłem do końca pewny, co prawda miały tu przed chwilą miejsce działania nieszablonowe, ale ja wciąż czułem jakiś niedosyt. Czegoś w naszym działaniu jeszcze zabrakło i powinniśmy natychmiast to poprawić.

Mieszkanie wyglądało na dostatnie, urządzone gustownie i ze smakiem, sprzętami, których na co dzień nie widywało się w sklepach. Na stole potrawy też nie takie, jakie przeciętny człowiek zwykle jada. Do tego ledwie napoczęta butelka irlandzkiej whisky z żółtą etykieta, trunek, który nawet ja widziałem dotychczas jedynie na półkach Pewexu, za grube dewizy. Tak, zdecydowanie trafiliśmy jakichś bogaczy, którzy na pewno trzymali gdzieś tu pokaźne zwitki banknotów.

Usiadłem przy stole, naprzeciwko przestraszonych dzieci, podczas gdy chłopcy na mój rozkaz poczęli przeszukiwać szafy i komody. Naprawdę, miło było popatrzeć ile radości dało im patroszenie szaf, rozrzucanie garderoby gospodarzy po całym pokoju, darcie papierów czy innych dokumentów. Niepojęte, z jaką pieczołowitością ci mali w gruncie rzeczy chłopcy niszczyli mienie, które do nich nie należało.

Sebastianowi przez nieuwagę spadł nawet kryształowy wazon. Potoczył się po parkiecie kilka centymetrów i dopiero potem niespodziewanie rozsypał chyba na milion kawałków. Patrzyliśmy na to zdumieni. Ale gotówki wciąż nie było.

-Do której klasy chodzisz?- zapytałem starsze z dzieci, wpychając jednocześnie do ust zwitek parmeńskiej szynki. Cóż za rozkosz na podniebieniu, już dawno nie jadłem takich delicji.

-Pierwszej- odpowiedział cicho malec.

-A twoja siostra?

-Do przedszkola.

Faktycznie, smarkula mogła mieć ledwie ze cztery lata.

-Podoba ci się obrazek?- zagadnąłem ją- to pan Jezusek, wiesz? Niedawno miał urodziny. Skinęła tylko głową. Zwróciłem się do chłopca.

-A wiesz gdzie rodzice trzymają pieniądze?

-Tata zawsze chowa do barku- wypalił bez zastanowienia chłopiec.

Podszedłem do kredensu. Bingo! Gruby, bardzo gruby zwitek banknotów ze Stanisławem Wyspiańskim na awersie, do tego kilka pomniejszych nominałów. W szkatułce obok kolejny, równie pękaty. Ci ludzie trzymali w szafie dobrych kilkaset tysięcy złotych! Ku mojemu rozczerowaniu nie znaleźliśmy jednak żadnych dewiz, pewnie zdeponowali je na walutowym koncie. Natomiast biżuteria, świecidełka zupełnie mnie nie interesowały. Chłopcy niczego nie znaleźli po szafach a dłużej rozwalać też już nie mieli ochoty. Powoli należało się zbierać.

W tym momencie stanął przede mną Marcinek.

-Proszę księdza, a mogę coś temu psu zrobić?

-A co ty chcesz mu zrobić, dziecko- zerknąłem na zwierzę, które powoli zaczynało wracać do świata przytomnych.

-A bo mnie prawie ugryzł ostatnio.

-I chcesz mu oddać? To nie po chrześcijańsku.

-Oj psze księdza- skrzywił się chłopiec- no mogę?

-No dobra- sam też byłem ciekaw co też mu po tej łepetynie chodzi.

-Dziękuję- odkrzyknął z uśmiechem a ja z niemałym zdumieniem zobaczyłem, jak podnosi kundla za obrozę, wychodzi na balkon i zrzuca z siódmego piętra. Jakies dwie, trzy sekundy potem głucho plaśnięcie o podłogę.

Panie przenajświętszy! Mam nadzieję, że nie rzucił nim o moje auto!

-Chłopcy, zbieramy się- zdecydowałem. Ta kolęda zdecydowanie zaczynała się przedłużać. Ministranci patrzyli na mnie z wyczekiwaniem. Oczy im błyszczały a oddechy mieli przyspieszone. Spodobała im się cała ta akcja, wiem na pewno.

Poprosiłem Sebastiana, żeby zabrał rodzeństwo do kuchni i związał plecami do siebie.

Poszli bez oporu a ja znowu musiałem gówniarza strofować, gdy bez potrzeby szturchnął i straszyl chłopca. I tak był już dość przerażony.

Na wszelki wypadek małżeństwo potraktowałem podwójną dawką impulsu elektrycznego.

Co prawda i tak wciąż byli nieprzytomni, jednak musiałem ich przetransportować do kuchni a wolałem, żeby się w tym czasie nie ocknęli. Szczególnie gospodarz, dobrze pamiętam, co zrobił parę dni temu księdzu Krzysztofowi, który do tej pory nie może się otrząsnąć.

I strasznie głupio wygląda z tymi podpuchniętymi oczami od złamanego nosa.

Złapałem kobietę pod ramiona. Leciutka była, może z pięćdziesiąt kilo, przeciągnąłem bez trudu i ułożyłem pod kaloryferem, do którego Jakubik zaczął ją przywiązywać. Wciąż pachniała obłądnie.

Trochę więcej czasu i siły zmarnowałem transportując jej męża. Naprawdę był z niego kawał chłopca a nieprzytomne, bezwładne ciało wcale nie ułatwiało mi roboty.

Zdrowo się zasapałem, zanim dowlokłem go do reszty rodziny.

Leżeli teraz skrępowani w kuchni, cała czwórka, tylko te dzieci zaczynały mnie denerwować. Patrzyły na mnie w milczeniu i napastliwie, aż przestraszyłem się, że nagle któreś zacznie krzyczeć. Aż dziwne, że żadne dotychczas nawet nie pisnęło.

W nagłym odruchu paniki poraziłem je paralizatorem. Zwiotczały, ale przynajmniej przestały się we mnie wpatrywać. Dla pewności zakleiliśmy im buzie taśmą, która wreszcie się do czegoś przydała. Na wszelki wypadek to samo uczyniłem z ich rodzicami. Potem zamknąłem uchylone dotychczas okno a także okleiliśmy ramę dookoła taśmą. Akurat starczyło.

Rozejrzałem się za moimi ministrantami. Ci beztrusko, jakby cała sytuacja tutaj nigdy nie miała miejsca, bawili się kolekcją Matchboxów w pokoju rodzeństwa.

-Idziemy- warknąłem. Byłem już naprawdę serdecznie zmęczony i jak najszybciej chciałem wrócić do swojego domu.

-A zabawki?- zaskomlał Marcinek.

-Bierz jakie chcesz i wynocha- przestałem na chwilę być dobrym księdzem Mareczkiem- tylko nie za dużo. I wychodzimy.

Chłopcy nie słyszeli jeszcze, żebym zwracał się do nich takim tonem, toteż bez słowa opuścili pokój. Kazałem im wyjść z mieszkania i czekać w milczeniu na korytarzu.

W końcu to tylko ministranci.

Upewniłem się pobieżnie, że cała znaleziona gotówka, wraz z przyniesionym przez nas sprzętem spoczywa bezpiecznie w neseserze. Zamknąłem jeszcze drzwi balkonowe oraz pogasiłem wszystkie światła. Na wszelki wypadek wykręciłem także korki.

Na sam koniec zajrzałem do łazienki.

Z wieszaka zdjąłem wszystkie ręczniki i porządnie namoczyłem wodą. Zajrzałem do kuchni, gdzie wszyscy wciąż leżeli nieprzytomni. Uchyliłem drzwi piekarnika a następnie wstrzymałem oddech i otworzyłem wszystkie kurki.

Pospiesznie opuściłem kuchnię, uprzednio układając pod drzwiami mokre ręczniki tak, by ulatniający się gaz nie wydostał się za pomieszczenie.

Pospiesznie wyszedłem z mieszkania, przez chwilę zastanawiając, czy nie zakluczyć drzwi, bo klucze i tak dyndały w zamku. Zrezygnowałem jednak z tego pomysłu, zwyczajnie zamykając je za sobą. Skinąłem na ministrantów i nie mówiąc ani słowa ani nie patrząc na siebie w pośpiechu, choć wyjątkowo cicho zbiegliśmy po schodach siedem pięter w dół, całkowicie zapominając o windzie.

13.

Powoli odliczałem banknoty niższych nominałów, dobrze wiedząc jaki wrażenie robią one na chłopcu. Przekonany jestem, że nigdy w życiu nie widział nawet takiej sumy, której posiadaczem za chwilę miał się stać. Mimo półmroku panującego w aucie widziałem, jak błyszczą mu się oczy.

Włożyłem mu banknoty w dłoń.

-I pamiętaj, nikomu ani słowa co się dzisiaj przydarzyło. Ani słowa, bo...- nie musiałem kończyć groźby. Zanim Sebastian pobiegł do domu odbyłem krótką acz rzeczową rozmowę z moimi ministrantami. Wydaje się, że osiągnęliśmy porozumienie, co prawda sugestYWnie popartą delikatną groźbą.

Chłopcy otrzymali swoją dolę a także pozwoliłem im zatrzymać kilka gadżetów, które wynieśli z kolędy zastrzegając jednak, że gdyby ktoś pytał skąd to, to mają mówić, że to od kolegów pożyczili.

Dochodziła dwudziesta pierwsza, więc zdecydowałem się odwieźć każdego z nich pod sam dom. Sebastian pobiegł już dawno, z Marcinkiem jeszcze miałem do porozmawiania.

-Dobrze się dzisiaj zachowałeś, dokładnie tego od ciebie oczekiwałem. Taki profesjonalizm, opanowanie, zachowanie adekwatne do sytuacji, w której się znaleźliśmy- celowo używałem słów, których pewnie i tak nie rozumiał- jestem z ciebie dumny. Wróżę ci wielką przyszłość. Porozmawiam z księdzem Włodkiem, chłopcy tacy jak ty powinni otrzymać kołnierz szybciej, niż pozostali. Powinieneś być lektorem.

Mówiąc to pogłaskałam go delikatnie po udzie, tak niezobowiązująco, żeby wyglądało naturalnie, żeby go nie spłoszyć. Och, jak bardzo mi się ten chłopak podobał.

Postanowiłem od dzisiaj częściej zapraszać go do siebie.

Mój kajet grzechu pęczniał od opowieści spisywanych miesiącami.

Chyba nadszedł już czas, żeby zacząć te historie realizować.

-Zmykaj do domu. Mama się pewnie niepokoi. A tymi dziurami w spodniach się nie przejmuj, zajdź kiedyś do mnie, pani Janeczka ci zaceruje. Albo pójdziemy kupić nowe. Dobrej nocy.

Młody wysiadł z samochodu. Patrzyłem jeszcze, jak znika w klatce schodowej.

Uff, do domu. To był ciężki wieczór.

14.

Trzy. Dwa. Jeden. Zero!

Jak na komendę we wszystkich domach, na wszystkich dansingach czy prywatkach korki od szampanów wystrzeliły prawie w tym samym momencie. Serpenty, okrzyki, pocałunki, życzenia, aby ten nowy rok był lepszy! Aby był ciekawszy! Żeby się żyło lepiej! Fajerwerki rozświetlają niebo, ludzie na koszulach i sukienkach, choć na zewnątrz śnieg i mróz a jutro wszyscy będą mieli kaca i zapalenie gardła. Zbiorowe szaleństwo wylało się przed bloki. Ludzie, którzy dotychczas ledwie zauważali swoich sąsiadów, nagle zapalali do nich ognistym, odwzajemnionym uczuciem.

Wzajemnym wyrazom sympatii nie było końca.

-Pani Zubrzycka, najlepszego- na zewnątrz sąsiad Florek z parteru chwając się z butelką szampana uderza do pani Haliny z szóstego piętra- Zdzisław jestem- i już pcha się z dziobem, by przypieczętować bruderszaft pocałunkiem.

Ta nie pozostaje zimna jak lód, wszak już nie pamięta, kiedy ostatnio jakiś obcy mężczyzna tak bardzo chciał ją pocałować. No bo ten jej Andrzej, to już od osiemnastej nawalony jak bombowiec i zamiast wspólnie świętować nadejście nowego, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego, to właśnie porzygał się sałatką warzywną, którą ona przygotowywała od rana. Zatem ściskają się na tym zimnie w niestabilnym, pijackim uścisku, a po chwili dokleją się do nich Wyszyński i Januszewscy. Jutro będą udawać, że się nie znają, jednak teraz jest czas miłości.

-Do Kamińskich chodźmy z życzeniami- Zubrzycka na chwilę wyswobadza się z uścisku

-Jakich Kamińskich?- Florek nie ogarnia wszystkich swoich sąsiadów.

-No na siódme piętro.

I już po chwili winda wiezie wesołą gromadę w górę.

Łomoczą przez chwilę do drzwi, ale nikt nie otwiera.

-Niech im gwiazdka pomyślności nigdy nie zgaśnie- wydiera się bez sensu pijany Januszewski, jednak Halina Zubrzycka nakazuje mu zamilknąć.

-Nie ma nikogo- bełkocze Florek.

-Są, muszą być. Powinni być. Wcześniej jakaś tam u nich awantura była, nawet coś się potłukło, słyszałam- Zubrzycka mieszka dokładnie pod Kamińskimi a poza tym nie na darmo cały blok nazywa ją Sokolim Okiem.

-No to jak byli to i są- Florek jedną ręką wkłada Popularnego do ust a drugą, niby niechcący, naciska klamkę. Wpadają pijani w ciemność mieszkania, któreś próbuje włączyć światło, jednak to nie działa.

-Ale tu cuchnie u nich- Zubrzycka zmierza w stronę drzwi balkonowych, by je otworzyć.

Układ mieszkania zna na pamięć, jednak potyka się o przewrócone krzesło.

-Co to za burdel?!- klnie masując kolano.

-Zaraz się porzygam- Wyszyńskiemu cofają się zjedzone przed chwilą flaczki, zatem prosi Florka, by pomógł mu trafić w ciemnościach do toalety. Po drodze zahaczając o mokre ręczniki na podłodze przy drzwiach.

-Ki diabeł?- dziwią się, jednak nic w ciemnościach nie widać. Otwierają drzwi do kuchni, skąd uderza w nich fala trudnego do określenia chemicznego smrodu.

Wyszyński już dłużej nie może i rzyga tam, gdzie stoi. Florek czuje, że to prosto na jego buty, ale nic nie widzi, więc wyjmuje zapalniczkę, żeby sobie rozjaśnić.

-A kto z nami nie wypije, niech go piorun...- kontynuuje swoją pijacką pieśń Januszewski.

15.

Zmęczony, spocony, ciężko oddychając opadłem bez sił na podłogę.

Upřednio rozłożyłem na niej swój koc, toteż było mi wygodnie i pluszowo.

Nie mniej zasapany Tomasz zsunął się tuż obok mnie i przez dłuższą chwilę nie byliśmy wydobyć z siebie ani słowa. Tyle już miesięcy od chwili, kiedy podobna sytuacja przydarzyła się nam ostatni raz.

Czułem, jak mój tyłek wciąż pulsuje, penis Tomasza nie był może najdłuższy ale gruby, żyłasty i twardy, zaś mój odbył po miesiącach abstynencji ciasny i nieprzyzwyczajony.

Czułem, jak zaczyna wypływać ze mnie jego pachnące niczym kwiat kwitnącego drzewa nasienie, którego wtłoczył mi tam chyba kilka litrów. Cmoknąłem go delikatnie w spocone czoło, łapiąc jednocześnie za więdnącego członka. Poruszałem nim kilka razy w górę i w dół, wyciskając resztkę spermy, zawsze lubił, gdy tak robiłem.

Tomasz sięgnął do ławy po dzban wina, które przywiózł z Włoch specjalnie na nasze spotkanie. Upił dość spory łyk a potem wlał mi trochę do gardła prosto z butli, rozlewając po twarzy i klatce piersiowej. Śmiejąc się zlizywał trunek z mojego ciała, podczas gdy ja besztalem go za plamy, których pewnie mnóstwo narobił na moim ukochanym kocu. Było kilka chwil po północy, jednak my nie uczestniczyliśmy w zbiorowej fecie z okazji nadejścia nowego roku, choć wiele osób z sąsiednich bloków zebrało się pod plebanią, by napić z nami szampana. Niektórzy, co bardziej trzeźwi, prosili nawet o błogosławieństwo na nadchodzący rok, sprawiając niewątpliwą radość proboszczowi Trybińskiemu.

Byłem wykończony.

Po powrocie z akcji zameldowałem się u przełożonego. Zdałem obszerną relację z jej przebiegu, zwróciłem użyte narzędzia a przede wszystkim przekazałem zdobyte środki, nie zatrzymując z nich ani złotówki dla siebie. Lojalność przede wszystkim.

Trybiński wyraził ogromne uznanie dla wzorowo przeprowadzonej operacji, nadmieniając, że osoby takie jak ja winny kontynuować naukę i ścieżkę zawodowego rozwoju, dlatego cieszę się na myśl, że już niebawem opuszczę gościnne mury tutejszej jednostki i dalszą karierę kontynuować będę przy jakimś biskupie, ukończywszy najpierw rzymski uniwersytet. Może sam niebawem zostanę biskupem, chociaż w branży jestem ledwie dwa lata.

Nie wspominam na razie o tym Tomaszowi, pijemy włoskie wino i cieszymy jak dzieci ze wspólnie spędzanych chwil, po tylu miesiącach rozłąki.

A noc jeszcze długa przed nami i wina sporo.

Tomasz leniwie podniósł się z podłogi oznajmiając, że musi wziąć prysznic zanim nastąpi ciąg dalszy tej pięknej nocy.

Dosłownie w tej samej chwili rozległ się potężny grzmot, eksplozja, jakby zaraz za plebanią. Tak potężna, że w moim pokoju zadrżały szyby i zadzwoniły kieliszki ustawione równo w kredensie. Tomasz odruchowo schylił się a i ja skuliłem na podłodze w pozycji embrionalnej. Wystraszyliśmy się naprawdę nie na żarty, przecież już po północy i nawet kanonada noworocznych fajerwerków ustała chwilę temu.

Leżeliśmy skuleni, przytuleni, wsłuchując w nastalą po wybuchu nieprzeniknioną ciszę. Nie wiem jak długo.

Dopiero po chwili na zewnątrz usłyszałem jakieś głosy, wrzaski, podeszliśmy więc do okna. Ludzie biegli w jednym kierunku, gdzieś za plebanię, krzycząc coś o jakimś wybuchu w bloku i pożarze, wołając o pomoc.

Usłyszałem, nawet zobaczyłem, bo plebania niedaleko głównej drogi, zjeżdżające się ze wszystkich kierunków karetki i wozy bojowe straży pożarnej.

Tomasz poszedł wziąć prysznic.

Korzystając, że byłem w pokoju sam, chwyciłem stojącą butlę z winem i upiłem z niej solidny łyk. Mało. Czuję, że moje serce bije jak oszalałe.

Z barku wydobylem napoczętą półlitrowkę wódki i opróżniłem ją bez odstawiania od ust.

Usiadłem na sofie dysząc ciężko.

-Tylko nie blokuj mi długo łazienki- krzyknąłem w stronę kochanka, zanim alkohol posłał mnie prosto w błogi niebyt.

Koniec.

28.12.2019

3:20 AM.



Radosław Łucarz

Rocznik 1978

Pochodzi z Bydgoszczy. Poeta, pisarz.

Dotychczas opublikował zbiory wierszy:

Chłopiec do bicia

Zabicie czarnego kota

Druty

zatoka święconej wody

Ibuprofen (piosenki niezaśpiewane)

Wojna! spontan poetycki

oraz opowiadania:

zero czterdzieści jeden

Od dwunastu lat mieszka na Wyspie za Kanalem.

W życiu pracował już jako sprzedawca, robotnik, dziennikarz, żołnierz, listonosz, kucharz, kontroler jakości a ostatnio do pracy zakłada mundur i cieszy, że to inni teraz muszą ciężko fizycznie pracować a on się tylko przygląda.

Ateista. Zasłużony honorowy dawca krwi.

Założyciel i komendant główny stowarzyszenia Służba Społeczna Honorowych Dawców Krwi Żandarmeria Obywatelska, www.zandarmeria.org, grupy o silnych aspiracjach, o której niedługo będzie głośno.